

opusdei.org

Profesjonalna koszykówka: przepustka do światowego życia?

Był rok 2004. Do końca meczu z Realem Madryt pozostało tylko 16 sekund i trener w końcu mnie zauważył. Miałem wtedy 19 lat i bardzo się denerwowałem...

06-09-2010

Wziąłem więc głęboki oddech, ściągnąłem bluzę i wbiegłem na boisko. Ktoś podaje mi piłkę przy

linii bocznej. Zmyłka i drybling w kierunku kosza. Ale środkowy Realu Madryt wpada prosto na mnie. O rany, jak to bolało! Sędzia gwizdże faul. Dwa rzuty wolne. Oba w koszu. Wow! Rozluźniam się na głos dzwonka, oznajmającego koniec meczu. Spoglądam na tablicę wyników. Ale nam dali łupnia! Ale gdyby mój dziadek Enrique, który kiedyś zawoził mnie na mecze, mógł mnie teraz zobaczyć, byłby szczęśliwy . . .

Cóż, przynajmniej skończył się mój pierwszy mecz, w którym wystąpiłem jako obrońca w drużynie CB de Granada. Jednak nadal nie wiem, czy spełni się moje marzenie gry w pierwszej lidze. Mówię sobie: „Uważaj, niech ci woda sodowa nie uderzy do głowy.” Zbieram swoje rzeczy i wsiałam do autokaru. Ludzie, którzy nas mijają spoglądają na nas, jakbyśmy byli jakimiś ważnymi osobami. Tak jakby chcieli

powiedzieć: „Tylko popatrz na tych gości... Ci to pewnie mają światowe życie!”

Mylą się. Nasze życie wcale nie jest takie niezwykle. Wracamy do rzeczywistości, gdy próbujemy rozprostować nogi w autokarze. Moje problemy w tym względzie to nic porównaniu z tym, co przeżywa nasz środkowy, który przy wzroście 2,10 m musi kurczyć nogi między siedzeniami. Prawda jest taka, że mierząc tylko 190 cm nie wyróżniam się przy kolegach z drużyny.

W autokarze do głowy zaczynają mi przychodzić głupie myśli: „Właśnie zagrałeś przeciwko Realowi Madryt, a teraz wszystkie dziewczyny będą za tobą szaleć i będziesz sławny.” Więc wracam pamięcią do tego meczu, gdy dopiero zaczynałem swoją karierę koszykarską.

Całkiem dobrze go pamiętam. Na trybunach panowało duże napięcie.

Rodzice skandowali, dookoła biegały dzieciaki, a trener wrzeszczał przy linii bocznej. Siedziałem na ławce, patrząc na jednego chłopaka, który wydawał się grać na obronie bez specjalnego zaangażowania. W końcu straciłem cierpliwość i krzyknąłem, zdenerwowany jego lenistwem: „Jesteś do niczego!” Z ławki zerwała się jakaś dziewczyna: „Do niczego? O co ci chodzi? Ten chłopak jest całkiem niezły. Chyba w ogóle nie oglądałeś meczu.” Zaskoczony, nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Od tego czasu nie lubię się spierać. Usiadłem na ławce, czerwieniąc się jak burak.

Minęło kilka meczów. W wieku 14 lat otrzymałem tytuł wyróżniającego się gracza w zespole Granady i poszedłem odebrać nagrodę. Byłem zdenerwowany ... i bardzo szczęśliwy. Moim rodzice też. Kiedy schodziłem ze sceny, pojawiła się ta sama dziewczyna. „No, kto by

pomyślał, i to właśnie tobie dali nagrodę? No, cóż...” Oczywiście znowu się zaczerwieniłem. Ale jedna rzecz nie ulegała wątpliwości: dziewczyna miała charakter.

Okazało się, że ma na imię Julia i też gra w koszykówkę (prawdę mówiąc, lepiej niż ja). Z czasem poznaliśmy się dość dobrze dzięki wspólnym zainteresowaniom i w końcu się zakochałem, a potem odbyły się nasze zaręczyny. W międzyczasie moje życie nabierało coraz większego tempa. Pojechałem w podróż po Stanach Zjednoczonych. Po powrocie do Hiszpanii, postanowiłem zacząć studia biznesowe, łącząc je z wielogodzinnymi treningami i podróżami do różnych miast. Mój trener poradził mi: „Zwolnij, Gonzalo. Nie spiesz się. Ćwicz raz dziennie i chodź na zajęcia. Przed tobą długa droga, a ty dopiero ją zacząłeś.”

W tym czasie uważałem, że kryzysy w sporcie to sprawa osobista, że człowiek sam musi być silny... Ale mama Julii dużo mnie nauczyła, gdy zachorowała na raka i w końcu zmarła na skutek choroby: żyjemy dla innych, zarówno w cierpieniu jak i w radości. Nie przychodzimy na świat ani nie umieramy sami.

Ciągle zadawałem sobie pytanie: „Jak to możliwe, że matka mojej narzeczonej przyjmowała codzienne cierpienie z taką radością?” Nie mogłem tego zrozumieć. W swej chorobie, matka Julii żyła „Bogiem małych rzeczy”. Było to widać w jej uśmiechu, w jej serdecznej obecności. Nie umiem tego wyjaśnić. To takie proste, a przy tym tak trudno wyrazić to w słowach ...

W końcu zdałem sobie sprawę, że jej życie było odbiciem chrześcijańskiego ducha Opus Dei. Dla mnie Bóg był obecny tylko w

czasie niedzielnej Mszy św. oraz w momentach triumfu: gdy piłka wpadła do kosza, gdy wygraliśmy mecz... A tam, w ich domu, z moją przyszłą teściową przykutą do łóżka, odkryłem, że nawet gdy jesteś wysoki i silny, jest przy tobie Bóg, ponieważ tak naprawdę jesteś małym dzieckiem, potrzebującym opieki.

Więc teraz ja także jestem w Opus Dei i próbuję iść za radą mojego trenera w małych rzeczach oraz w innych, ważniejszych, takich jak codzienne uczestnictwo we Mszy św. czy poślubienie, miesiąc temu, tej dziewczyny z charakterem.

Mam 24 lata i nie noszę już na rękach tatuaży, ale na moich adidasach znajdują się słowa „Wszystko dla ciebie.” Były tam zanim się jeszcze ożeniłem. Moim kolegom z drużyny wyjaśniam, że te słowa to przypomnienie, iż poza koszykówką uczestniczymy jeszcze w

grze o znacznie większą stawkę: w mistrzostwach Życia wiecznego.

Wiem, że życie ma swoje wzloty i upadki... ale mamy Boga, który dla nas stał się człowiekiem 2000 lat temu. Teraz staram się trzymać się blisko Niego, gdy z przyjemnością podróżuję autokarem razem ze swoją drużyną, gdy słucham muzyki, gdy świętuję zwycięstwa... Od czasu gdy jestem w Dziele, kiedykolwiek występuje na boisku, szukam wzrokiem Anioła Stróża siedzącego na trybunach i trzymającego transparent z napisem: „Ciągłe kocham tę grę i kocham Życie. Twój dziadek, Enrique..., który przebywa z Bogiem.”

profesjonalna-koszykowka-przepustka-
do-swiatowego-zycia/ (16-08-2025)